

Gość Niedzielny



Skoro się wstydzisz swoich przodków gwary, wnet się zawstydzisz i wyprzesz ich wiary.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Na niedzielę szóstą po Wielkiejnocy

Lekcja.

1 Piotr IV. 7—11.

Najmilsi! Bądźcie roztropni i czuwajcie modlitwach, a nadewszystko miejcie ustawiczną miłość jedni ku drugim, bo miłość zakrywa wielkość grzechów. Goście radzi przyjmujcie, jedni drugie bez szemrania. Każdy jako wziął łaskę, usługując ją jeden drugiemu, jako dobry szafarze rozlicznej łaski. Bożej. Jeżeli który mówi jako mowy Boże, jeżeli który posługuje, jako z siły, której Bóg dodawa, aby we wszem był Bóg pochwalony przez Jezusa Chrystusa Pana naszego.

Ewangelja.

Jan XV. 26. 27. XVI. 1—4

W on czas mówił Jezus uczniom swoim: Gdy przyjdzie Pocieszyciel, którego ja wam poślę od Ojca, Ducha prawdy, który od Ojca pochodzi, on o mnie świadectwo dawać będzie. I wy świadectwo wydawać będziecie, bo ze mną od początku jesteście. Tom wam powiedział, abyście się nie gorszyli. Wylączą was z bóżnic; ale idzie godzina, że wszelki, który was zabija, mniemać będzie, że czyni posługę Bogu. A to wam uczynią, iż nie znają Ojca, ani mnie. Ale to wam powiedział, abyście, gdy godzina przyjdzie, wspomnieli na to, żem ja wam powiedział.

Dr. KARASIEWICZ.

Kościół w borach Tucholskich

(Dokończenie.)

Wieś Koślinka, która była dawniej przedmieściem tucholskiem, miała kościół drewniany św. Jakóba, a przy kościele był cmentarz. I ten kościół prawdopodobnie podczas drugiej wojny szwedzkiej niszczał, a cmentarz i figura św. Jakóba jeszcze dzisiaj wskazują dawne miejsce kościoła.

Kościół w Gostyczynie powstał za czasów krzyżackich (między r. 1370—1386). Kościół w Jeleńcu zaś jeszcze później, bo go jeszcze w r. 1390 nie było.

W Pruszczy założyli kościół dziedzice wsi dość późno, wylączając go z parafii wałdowskiej, bardzo starej, bo założonej prawdopodobnie w 11-tym albo 12-tym wieku.

Parafia bysławska istniała już r. 1325 i odłączono po r. 1343 parafię lubiewską i cekcyńską.

Kościół w Śliwicach, które leżały nad starym, bo już w wieku 12-tym istniejącym traktem handlowym, jest dawnym i pochodzi albo z 12-go albo z 13-go wieku, zatem z czasów przedkrzyżackich.

Istniał także kościół w W. Kloni pod wezwaniem św. Stanisława męczennika, który był przez długi czas kościołem parafialnym, do którego należały wsie: W. i M. Klonia, Zalesie (gdzie także była kaplica), Pamiętowo, Skarpa, Adamkowo i Karczewko. Proboszcz, mieszkający w W. Kloni miał dwie wielkie włóki roli w W. Kloni, a dwie w Zalesiu. Dla braku księży przyłączono kościół kłoński do Wałdowa, w r. 1725 jako kościół filialny. Od końca wieku 18-go mieszkali w W. Kloni Kossowscy. Ponieważ z powodu wojen i różnych niepokoїв kościół kłoński znacznie podupadał, odnowił go zupełnie ówczesny landrat Kossowski r. 1839. W r. 1849 nabył dobra kłońskie Fryderyk Hiller von Gärtringen, który zaprzeczał, że ma obowiązek reparowania kościoła; kościół coraz więcej podupadał, aż w r. 1856 nie można już było odprawiać nabożeństw. Rozpoczął się długi proces, a w tym czasie wieher silny obalił w r. 1871 kościół. Dopiero w r. 1878 przyszło do ugody, podług której patron okupił obowiązki patronatu, płacąc gotówką zaraz 10 tys. marek. Z powodu wielkiego ubóstwa parafii postanowiła władza duchowna, że budowa nowego kościoła dopiero się ma rozpocząć, skoro suma urosnie przynajmniej na 18 tys. marek. Rolę zaś plebańską sprzedano do folwarku w r. 1867 za 6 tys. talarów, od których dziesięć płaci proboszczowi 300 talarów procentu rocznie.

Oprócz tego istniały kaplice:

a) w W. Komorzy, którą pobudował w r. 1650 Michał Odrowski, asesor ziemski tucholski, na onczas dziedzic tej wioski. Z czasem niszczała zupełnie kaplica, a w r. 1766 w jej miejscu była figura murowana św. Jana Nepomucena. W r. 1766 pobudował Maciej Póczyński, cześnik liwoński, większy kościółek, ale już nie w Komorzy, tylko w nowozałożonej wiosce swej Dąbrówce. Kościółek ten jeszcze dzisiaj istnieje i jest filją kościoła racińskiego.

b) Kaplica w Żalnie. To stare gniazdo Żalińskich posiadał w połowie 18-go wieku Józef Pruszek, kasztelan gdański, który we dworze piękną urządził kaplicę.

c) w M. Kęsowie była kaplica prywatna we dworze, którą poświęcił w r. 1766 proboszcz z Jeleńca ks. Szulc.

Nakoniec wspomnę jeszcze o klasztorze w Bysławku. Bysławek należał do bogatej i zasłużonej rodziny Żalińskich, a Zofia Żalińska, córka sędziego Tucholsk. Adama Żalińskiego, wstąpiła do klasztoru benedyktynek w Chełmnie, gdzie była jej wujenka błogosławiona Magdalena Mortęska ksienią zakonu. Wstępując do zakonu ofiarowała Zofia Żalińska wsie swoje Bysławek, Trutnowo i Ninikowo (dzisiaj Minikowo) klasztorowi (r. 1602). Te trzy wsie obrócono na fundację nowego klasztoru, do którego posłano z Chełmna 18 sióstr i Zofię Żalińską jako przełożoną. Klasztor ten jednak był tylko filją klasztoru chełmińskiego i przeznaczony głównie dla sióstr słabowitych i chorych. W r. 1607 kazała ksieni Mortęska dwór w Bysławku przebudować na kościół, w którego sklepach chowano siostry. Kiedy w r. 1772 okolice nasze przeszły pod panowanie pruskie, zabrał rząd dobra kalsztorne i płacił siostrom w Bysławku 900 zł. rocznie. Trutnowo i Ninikowo przeszły w ręce prywatne. Bysławek zaś oddano na szczególne prośby siostrom w Bysławku w wieczystą dzierżawę. Dochody sióstr były jednak tak małe i klasztor zaczął upadać. Kiedy w r. 1821 zgromadzenie sióstr benedyktynek w Chełminie zostało rozwiązane, a wszystkie zabudowania klasztorne i majątek zostały oddane siostrom miłosierdzia, przeniosły się siostry benedyktynki wraz z ksienią hr. Przebendowską (było ich 10 sióstr) i księdzem spowiednikiem Więckiewiczem do Bysławka i kazały klasztor i kościół podupadły odnowić; w roku następnym umarła ksieni Przebendowska, a rząd na obór nowej ksieni nie pozwolił. Pastorat i krzyż srebrny po ksieni zabrał landrat chojnicki i przesłał władzy duchownej do Pelplina. W roku 1851 pozostała już tylko jedna siostra Anna Szymańska, staruszka prawie niewidoma, a klasztor upadał coraz więcej, chodzenie po schodach było niebezpieczne. Kiedy rząd pruski w roku następnym oddał klasztor bysławski siostrom miłosierdzia na własność, zabrały siostry opuszczoną zupełnie staruszkę Szymańską do Chełmna, gdzie niedługo potem umarła.

Siostry klasztoru podarowanego nie zajęły i stał pusty do r. 1857, w którym to roku odstąpiły siostry klasztor na mieszkanie oo. reformatom. Tutaj przebywali oo. reformaci do r. 1875 t. j. do czasu, kiedy ich skutkiem kulturkampfu wydalon. Klasztor bysławski znowu stał pusty i dopiero r. 1881 zaczęto przysłać z Chełmna siostry słabowite do Bysławka. Kościół i zabudowania są obecnie w wielkim porządku; wybudowano dom przy klasztorze dla księdza, którego siostry utrzymują i który regularne nabożeństwa w kościele klasztornym odprawia. W jesieni 1890 r. nawiedził Bysławek wielki pożar, który zagrażał budynkom klasztornym, ale szkody nie wyrządził. Folwark Bysławek, należący przedtem do rodziny Martensów, obecnie rozparcelowano.

Ks. N. Cieszyński.

Arcybiskup-Męczennik

(Dokończenie.)

„I oto modlitwy Wasze się spełniły. Przybyłem do Was, nie na piecierz, ale osobiście Wam podziękować, podzięką ta jednak należy się jeszcze ode mnie i komu innemu. Gdyby nie rządy zagraniczne, między nami i rząd amerykański, możeby mnie nie było między Wami. Należy się więc ode mnie podziękowanie dla rządu amerykańskiego, który przyłączył swój silny głos dło ogólnego chóru protestów.

Wam ponadto należy się moje podziękowanie za dzisiejsze tak piękne zebranie, za słowa powitania, których słuchając czułem się naprawdę przygnębiony i upokorzony, bo. doprawdy nie jestem wart tych wszystkich pochwał. Pan Bóg tak zrządził, że przeszedłem tę pró-

wę. Wszak jednak ksiądz i Polak zrobił tak jak ja na mojem miejscu, nie było w tem żadnego bohaterstwa, które mi wasza dobroć i serce przypisują, a już daleko mi do takich zasług, za które możnaby mnie — jak to p. Napieralska 1) łaskawie zrobiła — uwiecznić mnie i zaliczyć w poczet świętych za życia.

Dostojny mówca nie omieszkiał ostrzec delikatnie przed niezgodą i amerykańizacją, nie obawiając się stuprocentowych jankesów. Oto wyraźnie mówił:

„I jeszcze coś chcę Wam ofiarować: Słowo biskupie — Słowo pasterskie, naukę miłości, abyście nie zapomnieli o wierności dla Boga i Ojczyzny. Składam Wam życzenia, abyście zostali wiernymi tym ideałom, przy których tak dzielnie trwaliście dotąd na obczyźnie, abyście byli prawdziwymi katolikami, abyście byli zawsze przywiązani do kraju — i o jedno jeszcze Was proszę, abyście między sobą języka polskiego używali. Przyczyniać się w ten sposób do umocnienia jedności, której nam dzisiaj tak bardzo potrzeba.“

I nie zadowolił się tem przemówieniem, które przyjęto frenetycznymi oklaskami i okrzykami na jego cześć, „zszedł ze sceny jak prawdziwy Pasterz pomiędzy swoją owczarnią, obchodząc dookoła sąle i mając dla każdego ciepłe słowo i ojcowski, zdobywający mu serca uśmiech („Dziennik Chicagoski“ z 2 i 3 grudnia 1925 r.)

Ostatnie chwile.

Praca taka wyczerpywała, rozumie się, nadwątłono siły starca. 10 lutego 1926 r. po nabożeństwie odprawionem w jednym z kościołów nowojorskich, wygłosił jeszcze w czasie śniadania, na które zgromadziło się około 200 przedstawicieli społeczeństwa polskiego arcyserdeczne przemówienie, które Polacy w Ameryce uważają za testament dla nich zostawiony. Zakończył tę mowę, sławiącą pracowitość polsko-amerykańską m. in. temi słowy:

„Odjeżdżam, ale wpięrw rzucam się duchem w Wasze objęcia i żegnam Was. Będę wierny tej miłości, którą darzyliście mnie... Cieszę się, że mianowano mnie honorowym kapelanem Zjednoczenia polskiego rzymskokatolickiego...“

Odjeżdżał już, „ale ostaną przeprawą. Jego drżący głos, jego słabość świadczyły już, że czai się w tym męstrudzonem pracowniku Bożym choroba. Powaliła go następnego dnia na łóżko boleści, z którego już nie miał powstać. Zgasł 17 lutego 1926 roku w szpitalu Marji Panny w Jersey-City, błogosławiąc pięciu kapłanów, konsula polskiego z N. Jorku i siostry józefitki. (Z mowy biskupa Nowowiejskiego i „At. Kapł.“ Włocł. z 3 lutego 1926 r.)

Opatrznościową i z tego względu była ta podróż arcybiskupa Cieplaka po Ameryce, że podkreślał otwarcie potrzebę samodzielnych biskupów polskich („Przegląd Kat.“, Milwaukee z stycznia 1926, str. 16).

Dzięki staraniom rządu polskiego, a osobliwie Prezydenta Wojciechowskiego, zabrano się do sprowadzenia zwłok Tego, który był symbolem odrodzonej Polski katolickiej na obczyźnie w czasie nowoczesnego przesładowania chrześcijan i prawdopodobnie podniesiony zo stanie na ołtarze, do tej ziemi ojczystej, tak gorąco przezeń ukochanej.

Uroczystości żałobne w kraju.

Więc jak przed niespełna rokiem rozpoczął się znowu triumfalny, lecz tym razem żałobny pochód Męczennika przez krainę polską. Wszędzie witały go znowu tłumy, lecz tym razem płaczące z żalu.

1) Najgłośniejsza działaczka polska w Ameryce, przewodnicząca organizacji kobiecych.

Zwłoki z Nowego Jorku przewiózł ks. Orzechowski ra statku angielskim „Smoleńsk” do Gdańska, dokąd przybyły dnia 9 marca 1926 r., powitane przez biskupa O'Rourke'go i komisarza generalnego Rzeczypospolitej Strasburgera. Po odprawieniu uroczystego nabożeństwa w kościele św. Stanisława we Wrzeszczu odprowadził biskup z olbrzymim pięciotysięcznym tłumem Ciała na dworzec, skąd przez Tczew, Toruń przewieziono je do stołecy. Znowu gromadziły się po stacjach tłumy z duchowieństwem na czele, by ostatni raz uczcić Zwłoki arcybiskupa.

W Warszawie w kościele św. Piotra i Pawła na Koszykach 14 marca br. odprawił nabożeństwo żałobne kard. Kakowski, a mowę wygłosił ks. kan. Szlagowski. Poczem ruszył kondukt przez ulice stołeczne ku dworcowi na Pradze, zatrzymując się już o zmroku przed bernardynami, gdzie przemawiali jeszcze poseł ks. Wyrebowski i prezydent miasta p. Baliński. („P. Katolik”, Warszawa z 16 marca 1926 r.)

Najwspanialej jednak żegnało swego arcypasterza żałobnie przystrojone Wilno, żałośnie płacząca wdowa po swym arcybiskupie Małżonku, który właśnie w marcu miał odprawić swoje zaślubiny ingreś. I oto na marach je teraz odprawia, a cały naród przez swoich najwyższych przedstawicieli bierze w tej uroczystości udział. Więc przewodniczy nabożeństwu kardynał Kakowski, przed ołtarzem głównym na wniesieniu modła się Prezydent Wojciechowski, ministrowie, przedstawiciele sejmu i senatu, podniosłe, treściwe kazanie głosi przyjaciel Zmarłego, ks. biskup Julian Nowowiejski z Płocka. Po kazaniu i unickie duchowieństwo odprawia nad trumną swoje modły.

Zwłoki złożono do uprzednio przygotowanej krypty w katedrze wileńskiej.

* * *

Z arcybiskupem Cieplakiem zeszedł ze świata jeden z najlepszych i najszlachetniejszych synów Kościoła i Ojczyzny. Łączyły się w nim i przedziwnie zlewały ze sobą dobroć serca i męska stałość zasad i dzięki tym przymiotom nie tylko podbijał i zniewalał sobie dusze, ale wyrósł na tego Bohatera, który rozniósł sławę imienia polskiego najszerzej ze wszystkich biskupów polskich po całym świecie.

Rzadko w którym życiu widoczne było tak wyraziste działanie Opatrzności, jak w życiu tego cichego pracownika w winnicy Pańskiej. Wśród obcego żywiołu trwał jak morska latarnia, promieniąca dokoła nieśmiertelnym blaskiem Wiary katolickiej, jako wyznawca-męczennik rozstawiony w świecie nienawykłym do oglądania męczenników, zyskał u Boga tę łaskę, że wypuszczony na wolność mógł dzięki nowoczesnej komunikacji przedstawić naocznie temu światu opiekę Boga nad prawdziwym Kościołem.

Zaiste spełniły się w życiu jego słowa Eklezjastyka: „Uczył go zacnym przed oczyma królów i dał mu rozkazanie przed ludem swoim... I opasał go pasem chwały i przyobłócił go szatą chwały i ukoronował go w naczyniach mocy”.

MARJA KONOPNICKA

Nasza szkapa

(Dokończenie.)

Aż raz się nie dosłuchał jakoś.

Matka umarła w nocy tak cicho, że nikt nie słyszał nawet.

Piotruś przy niej tej nocy spał, a i on nie słyszał. Wyszła z niej duszyczka, jak para; ani się tyle nie załomotała, co wróbel, kiedy odlata.

Więc kiedy ojciec, oderwawszy głowę od jej wysztych piersi, krzyknął, że matka nie żyje, stanęliśmy

przed łóżkiem w wielkim zadziwieniu, patrząc na posiniąle usta, to na Piotrusia, który przy jej zimnych, sztywnie wyciągniętych nogach spał ciepły, rumiany, perlistym potem na czółku okryty... Tak ci przedak, że go śmierć łokciem trąciła, a on nie.

Zaraz się w naszej izbie tumult wielki zrobił, sąsiadek się naschodziło, zaczęły radzić, głowami kiwać, wzdychać, a że nam ojciec tego dnia kaszy nie gotował, a Piotruś jeść płakał, więc go sklepikarka pojęła do siebie, a i nam po bulce dała.

— A to ci baba skruszała! — szepnął Felek, poczem ją zaraz pocałował i bosemi nogami szastnął w zamasy-stym ukłonie.

Cały ten dzień było mi tak, jakby mi ktodo ucha szeptał: „niema już matki!... umarła już matka...” To zaraz wycierałem pięściami oczy, bo mi się okrutnie płakać chciało.

Mimo to jednak bawiliśmy się tego dnia doskonale, bo taka u nas ciżba była, jak na Ordynackiem. Jak zapamiętam, nigdy nie widział tylu ludzi w naszej suterynie; co kto przejdzie koło nas, to po głowach głaszcze, to się lituje, to pociąga nosem.

Wczoraj jeszcze w całej kamienicy nikt na nas inaczej nie wołał, tylko lobuzy, albo urwipolcie; a dziś, jakby im kto gęby miodem posmarował: „Sieroty! Sieroteńki! Niebożatka!...”

A Felek tylko się nastawia, a oczami mruga, a co kto przejdzie, to mnie poszturchuje.

— A to ci komedyje! A to tyjart!... — szepcze i w ściśniętych pięściach robi dwie skandaliczne figi, a język sam mu się z poza zębów wysuwa, cienki i ostry, jak żądło.

Ojciec tymczasem, jak nieprzytomny, po izbie chodził, co weźmie, to położy, choć się tam w tej pustce nie było wielce czego iść.

A baby nuż się po naszej biedzie rozglądać, nuż jedna drugiej na ucho szeptać, nuż ramionami ruszać, a głową trząść i stękać... Myślałem, że temu nigdy końca nie będzie, aż się nareszcie rozeszły, bo im obiad z garnków kipiał.

Żeby nie to ludzie litowanie, tobyśmy i nie czuli tak bardzo, że matka umarła. Z pół roku już się nie podnosiła w tej chorobie, a w ostatnich czasach tak samo cichutko na pościeli leżała, jak i teraz. I teraz, kiedym na nią patrzył, zdawało mi się, że z pod rzesów za Piotrusiem oczyma wodzi i uśmiecha się leciuchno i co tylko ma powiedzieć: „Gdzie on tam gruby, biedaczysko!” Zupełnie, jak dawniej; tylko, że się tak świece nie paliły przy niej...

Od świateł tych padała na nią żółtość przezroczysta, która mnie straszyla; uczulem też, że zimne miała ręce, gdy nam je ojciec pocałować kazał. Ojcu jednak przy niej ciepło być musiało, bo nabiegawszy się cały dzień, a to do kancelaryi, a to do stolarzy, a to o furmankę — kiedy się ludzie rozeszli, na zydlu u łóżka siadł, ręką głowę podparł i patrzył: to na krzyż czarny, nad łóżkiem matki wiszący, to na głębokie cienie jej zamkniętych oczu. Usnąłem, a on jeszcze siedział. Ale w nocy obudziło mnie ciche szlochanie.

To Felek, który się przez cały dzień szastał i nastawiał i z ludzi wydziwiał, a mnie w boki szturchał, siedział teraz na sienniku, w otwartej na piersiach koszulini, rękami sterczące kolana objął, patrzył w pustą izbę i płakał.

Trzeciego dnia, spaliśmy jeszcze pod magłą w sionce, gdzie nam ojciec siennik zaciągnąć kazał, kiedy we śnie usłyszałem jakgdyby znajome rżenie.

Zerwałem się; serce mi biło, jak młotem.

Rżenie odezwało się znowu.

— Felek! Szkapa rży! — krzyknąłem, chwyciwszy go za ramię.

Szarpnął się i na drugi bok przewrócił, ale gdy znów słyszeć się dało, porwał się on także, na siemniku siadł i szeroko otworzywszy oczy, słuchał...

Przeciągle ciche rżenie odczuwało się raz jeszcze.

— Szkap! — wrzasnął Felek i, porwawszy na siebie katanke, ku schodom suteryny się rzucił.

Zacząłem się na gwałt odziewać, a tak mi ręce latały, że do żadnego guzika trafić nie mogłem.

— Wstawaj, Piotruś — wołałem — wstawaj! Szkap przyszła!

I strząśłem nim, jak wiązką słomy, bo się niejako budził.

Istotnie, przed bramą, zaprzężona do prostego, zastłanego kilinkiem woza, stała nasza szkap. U karku jej wisiał już Felek, objawiając ją oburącz, o ile dostać mógł; przy wozie stał pan Łukasz Smolik i częstował stróża tabaką.

Podnieśliśmy zaraz wrzask nie do opisania.

— Szkap! Nasza szkap! Nasza droga, kochana, stara! — wolaliśmy naprzemni, głaszcząc ją, klepiąc, tuląc się do niej, gdzie kto mógł. Piotruś gwałtem gramolić się chciał na nią.

— Stęskniła się bez nas szkap, co?... Przyszła do nas szkap?... Przyszła?... Pocziwa, dobra, stara szkap nasza.

I już jej zaglądać w zęby, już jej obmacywać nogi, już jej grzywę palcami czesać. Ani nam w myśli powstało, po co ta szkap do nas przyszła, na co to wóz ten czekał.

Ale i ona poznała nas także, i ona cieszyła się nami: przednią nogą, którą szpat znacznie pogrubiała, uderzała po bruku wesoło, ochoczo, jakoby krzesząc dla nas iskierki radości; łeb jej to podnosił się, to schylał, nozdrza parskwały rażno; to znów na głosy nasze i śmiechy strzygła uszami, wyciągała szyję, a donośne jej rżenie przenikało nas niewymowną rozkoszą.

Rżenie to zlewało się w jedno z trynitarskim dzwonem, który w tej chwili posępnie bić zaczął. Jednocześnie rozległ się z suteryny głuchy odgłos młotka. Aniśmy się spostrzegli, kiedy na wozie ustawiono trumnę.

— Wio! — zawołał pan Łukasz. Szkap ruszyła, a my przy niej klusem.

Na rogu ulicy obejrzałem się; gromadka sąsiadek i przechodniów już się rozproszyła, a za wozem, na którym pan Łukasz siedząc powoził, szedł ojciec sam, z czapką w rękę i zwieszoną głową.

Co do nas, biegliśmy już przy szkapie wesoło, ochoczo, ani na chwilę nie przerywając rozmów i pieszczoty. Poranek był majowy, promienie słońca zalewały blaskiem ulicę, most, Wisłę; z każdego grzymsu świerkały wróble. Głośniej wszakże, niż wróble, szebiełowała nasza gromadka.

— Dziś, Wicek — wołał Felek — jak ci to zgrubiała! Jakie ci to boki wyłożone ma?... Dziś, jakie ci nowe naszelniki... jaki ci kantar...

I my znów dalej chórem:

— Szkap! nasza szkap! Nasza droga, stara szkap!

Ludzie oglądali się za nami. Dziwnym się wydawał ten pogrzech, z trójką tak dobrze bawiących się dzieci na czele. Zwłaszcza na moście, gdzie wolniej w tłoku trzeba było jechać, robił nasz orszak pogrzebowy szczególnie wrażenie.

Przechodnie stawali i wzruszali ramionami. Parę razy nawet krzyknął na nas pan Łukasz, żeby za wozem iść, aleśmy ani na krok szkap odstąpić nie chcieli.

Słońce przygrzewało coraz silniej, droga stała się piaszczysta, zmuśna; szkap ciągnęła swój ciężar z pewnym wysiłeniem: zdrowe jej oko mrużyło się od blasku, na ślepem, osłupiałem, siadały rozdrażnione grzaniem muchy. Natychmiast ułamaliśmy kilka wierzbo-

wych witek i zaczęli ją skwapliwie oganiać. Sami też czuliśmy zmęczenia. Boso, w lichych szarawarkach i kurtkach latanych dreptaliśmy obok szkap wesoło, ochoczo, a krzyże cementarne wciąż rosły a rosły przed nami...

Że trumny nie miał kto nieść, puszczone nas z wozem za bramę. Ale tu czekać trzeba, gdyż grabarz dotka nie skończył kopać i dopiero teraz pośpiesznie wyrzucać zaczął z niego żółty piasek. Natychmiast zaczęliśmy rwać dla szkap szczaw zajęczy i soczystą babkę, której pełno było na drożynie. Tymczasem ojciec z panem Łukaszem zdjęli z wozu trumnę i postawili ją nad brzegiem dolka. Nie musiała być ciężką, bo kumoter, choć stary, prosto pod nią stał; a jednak ojca tak zgłębiała do ziemi, jak ten krzyż padającego Chrystusa, com go na stacyach bernardyńskich widział.

Zaraz też brzęknął ciekim głosem dzwonek, a w chwilę potem przyszedł ksiądz w komesce i kościelny z krzyżem i kropidłem. Spojrzał na nas ojciec surowo, więc my poklekli z Felkiem, trzymając w pięściach pęki świeżej trawy. Pan Łukasz i ojciec poklekli także, grabarz kończył robotę. Raz, dwa, trzy, odprawił ksiądz swoją łacińską modlitwę, wspomniawszy imię i nazwisko matki, „Ojciec nasz“ mówić kazał, sam zaczawszy głośno.

Podniósł ojciec twarz i obie ręce w niebo; z jego oczu padały łzy ciężkie, grube. Felek, już przy mnie klecząc, trzepał pacierz z wzrokiem utkwionym w szkapę.

Zrobiła się cisza taka, że słychać było leciuchne szemry wierzby i cykanie świerszcza.

— O, je!... je!... — rozległ się nagle wśród tej ciszy cienki głos Piotrusia, który pełne rączyny trawy i wiosennego kwiecia szkapie przed pyskiem trzymał, rozsypując bratki polne i białe stokrocie. Szkap delikatnie z rąk dziecka brała wargami trawę i żuła ją, przechylając łeb, melancholicznie zwróciwszy ślepe, zbieżne oko w słońce. Spojrzał ksiądz, zmarszczył się ojciec, a ponieważ najbliższej klęczałem mu pod ręką, silnie mnie za ucho pociągnął.

Wnet Felek zaczął się rozgłośnie pięścią w pierś bić, na znak, jako już pacierz i wszystko, co do niego należało, dokumentnie skończył, zaczęł, zerknąwszy na ojca, chyłkiem do szkap pomknął, a i na mnie kiwnął. Ksiądz też, trumnę pokropiwszy, z czego i nam się nie coś poświęcenia dostało, z kościelnym odszedł.

Dolek jeszcze nie był wybrany. Grabarz na glinę natrafił, i potrochu ją tylko, jak masła na chleb, na łopatę brał.

Ojciec modlił się ciągle. Wszakże panu Łukaszowi pilno widać było, bo raz wraz tabakę niuchał i na wóz poźierał, a w głowę się drapał, aż się ścisnęli, potrzęśli raz i drugi z wielkim przyjaciółstwem, poczem kumoter do szkap poszedł.

Jużeśmy ją wystroili, jakby pannę młodą. Świeże, rozkwitłe gałęzie akacyi sterczały jej za uszami, za uprzężą, za chmątem, gdzie tylko co wetknać się dało. Pęk żółtych mleczków tkwił nad czołem, pod skrzyżowym rzemieniem. Z grzywy opadały ostróżki i zajęcze maczki. Resztę zieleni trzymaliśmy w rękach, aby szkapę od baków opędzać.

Zaczął się teraz prawdziwy tryumfalny pochód.

Najpierw kroczył Piotruś, nie patrząc drogi, na-deptując male, świeże, z żółtego piasku sypane grobki dziecięce, ile razy się na wóz obejrzał. Za Piotrusiem szkap — wyrzucała z cichem parskaniem łbem, obciążonym kwieciami i zielenią, ja zaś i Felek, jak giermkowie, po lewej i po prawej stronie. Wóz toczył się zwłona, to podnosząc się, to opadając na zapadłych grobach, a za nami, z głuchym, coraz głuchszym łoskotem, padała ziemia na matczyną trumnę.